

ROLA

Rok V.
Kraków, dnia 30 lipca 1911 r.
Nr. 31.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6.

Żniwa

Żniwo... Łany się błyszczą barwą szczerozłotą...
Kłosy się pod ciężarem ziarna uginają,
A tam w dali z sierpami ludzie się zwijają,
Nucąc piosnki przy pracy, pracują z ochotą...

Skronie ich opalone słoneczną spiekotą,
Odwilża pot, co bieży z czoła strumieniami,
Który użyźnia rolę swoimi kroplami,
Aby potem wydała znowu kłosów złoto...

Moja hoża Janinka na przodzie się zwija,
Barwa maku cudnego okryła jej lica,
Chustka w tył wywiązana, to jest przodownica,
Za nią Franek i Walek, Jadzia i Marya...

Wszyscy rżną tu od ucha tylko szumią kłosy,
Układane na ziemię przez naszych żniwiarzy,
Którym się oko miłą wesołością żarzy,
Że Bóg dał ładne plony, wysłuchał próśb głosy.

W tem z pogodnego nieba słychać grzmoty,
Nie zadługo zaś ciągną ciężkie srogie chmury
I nad światem zawisa burzy płaszcz ponury,
Lecz moi bohaterzy nie tracą ochoty,

Lecz dalej, jeszcze bardziej rżną, dopóki da się,
Dopokąd deszcz ich z pracy do dom nie wyżenie,
Lecz już... kropla za kroplą spada na tę ziemię,
Więc pod kopkę lub chochoł schronić wypada się.

Burza przejdzie i znowu z złotego rydwanu
Słońce swą cudną tarczę na ten świat wychyli,
Aby żniwiarze pracę swoją dokończyli...
I zaśpiewali potem pieśń podzięki Panu!

Robert Rydz.

Rozbójnicze gniazdo.

IV.

Dwór w Mierzejewicach. — Wyprawa do Gródka. — Ostrzeżenie księdza Przeora. — Miecznikowej odwaga. — Cześnikowicz Sieniuta.

Dzięki pani miecznikowej, w Mierzejewicach było jak mało w którym dworze dostatnio i z ładem, a nawet dla oczu miło. Mało bo na świecie takich kobiet jak ona i niedarmo ją swą »Handzią złotą« pan miecznik nazywał. Stworzona była do pracy wesołej, jak ptaszyna. Nigdy się jej lice nie zachmurzyło, nie wyszło z ust narzekanie, ani skarga na znużenie. Ubolewała tylko, że jej życie tak szybko upływało. Mąż rzadko w domu przesiadywał, był tu prawie gościem, ona stała za niego i za siebie. Dzień był zużytkowany cały, żadnej chwili straconej. Inni też ludzie we dworze, widząc panią tak czynną i ochoczą do pracy, próżnować nie mogli. Ruszało się tam wszystko jak w mrowisku. Dwór był liczny, ale krom starego Deliana, który dla podeszłego wieku od pracy będąc wolny, jeszcze ryby łowił lub w ogródku dozorował, każdy miał zajęcie i nikomu odpoczywać nie było wolno.

Miecznikowa, choć córkę miała w latach szesnastu, sama wyglądała świeżo i młodo. Słusznego wzrostu, zbudowana silnie, krew z mlekiem, zęby jak perły, usta rumiane, oczy patrzące śmiało i prosto. Ale przy tem wszystkiem powaga była wielka i zmuszająca do poszanowania. Nie zlękła się ani konia, ani strzelby, bo ją ojciec nieboszczyk, syna nie mając, dla zabawy do wszystkiego przyuczał. Mówiono, że strzela celnie, lecz poszedłszy za mąż, już się tem nie bawiła. Jadzi też swej nie uczyła strzelać, ale jej wlała swe męstwo i otwartość, oraz ten charakter rycerski a umysł wesoły, który nie daje nigdy upaść na duchu.

Młode dziewczę podobne było do matki, tylko smuklejsze jeszcze i piękniejsze nad nią. We dworze tak panienkę kochali wszyscy, żeby się za nią pozabijać dali. Najstarszy ze wszystkich, blisko ośmdziesięcioletni Delian, nie zapierał się tego, że był w niej rozmiłowany.

Cóż dopiero powiedzieć o młodym Janaszu, który się z nią prawie wychował i był jej najpilniejszym sługą, a jakby bratem. Prawda, że poczciwy Korczak, od dzieciństwa w tym domu, kochał tak samo miecznikową i miecznika, lecz dla Jadwisi życiaby nie żałował.

Małą dziecinę osieroconą, wynędzniałą, przywieziono go z rozkazania miecznika do Mierzejewic. Byli mu ci Korczakowie dalekimi powinowatymi. Ojciec Janaszka, niegdyś zamożny, całą majętność puścił w świat przez swawolę. Pił jak gąbka, rąbał się codzień, twarz miał całą popisaną szablami, z czego chluby szukał. Byle słowo, pluł w garść i brał się do karabeli. Wiosek dwie poszło na biesiady z dobrymi przyjaciółmi, z których ani jednego nie stało, gdy go objedli i opili. Matka ze zgryzoty zmarła; nareszcie starego Korczaka, lepszy od niego rębacz dojechał po karku tak, że nie wymówiwszy słowa, padł krwią oblany. Zostało dziecię sierota, którym się tak krewni opiekowali, że mu gęsi pasać dawano. Zmizerował się biedak i o mało nie zmarł, gdy go miecznik przygarnął. Przywieziono na furze do Mierzejewic tylko cień dziecka w podartej koszulinie; bose to było, brudne i ledwie dyszące. Miecznikostwo oboje litość mając nad nim, szczerze się wzięli, aby go odchuchać. Jakoż wprędce dziecka poznać nie było można. Chłopak był rzadkiej piękności, a gdy na dostatniejszy chleb poszedł, rosło to jak na drożdżach i wybujało. Zrazu go w domu uczył przyjęty nauczyciel, potem go dano do szkół do Lublina, gdzie chciwie naukę łykał, wreszcie przy mieczniku na żołnierza się usposobił. Łatwo mu szło wszystko, bo umysł był bystry.

Była to prawa ręka we dworze, do wszystkiego, choć sercem miłował najwięcej rycerską sprawę i życie. Koń, szabla, rusznica, łuk, najmilszemi mu były zabawami. We dworze niemal jak własne dziecko go utrzymywano. Ale Janasz, im więcej było mu wolno, tem mniej z tego korzystał, bo dziwnie był skromny i pokorny. Dość powiedzieć, iż mając szesnastoletnią córkę w domu, miecznikostwo z powodu tego ślicznego chłopca dwudziestoletniego, najmniejszej troski nie mieli. Kochało się to po bożemu, jak brat ze siostrą, nie tając, nie kryjąc, ani pragnąc więcej nic nad to, żeby z sobą codzień mówić, uśmiechnąć się sobie mogli i jedno drugiemu usłużyć.

Pomimo młodego wieku, miał Korczak tyle doświadczenia, zimnej krwi i wytrawności, iż mu miecznik rodziny powierzyć się nie wahał. Dwór też cały był dobrany tak, że nim ani miecznikowa, ani on kłopotu mieć nie mogli. Złego się tam w Mierzejewicach nic nie uchowało długo.

Ks. Żudra, kapelan, niegdyś także żołnierz, choć ksiądz, mężny był i spokojnego ducha, a roztropności wielkiej. Często się go miecznik radził i dla Janasza w drodze wielką mógł być pomocą; bo choć w krajach tamtych nie bywał, tyle z ludźmi różnymi przestawał, tyle się po świecie nasłuchał, iż więcej od drugich wiedział.

Sześciu ludzi czeladzi dobrano co najtęższych i pewnych, chłop w chłopa. Hajducy, Hołoba i Trakiewicz, głową przerastali wszystkich, a byli też na taką wyprawę jakby stworzeni. Obaj prawie w obozie się wychowali, a niełatwo ich było czem ustraszyć. Najsłabszy ze wszystkich Węgrzynek, Giczy, choć pono z Węgrów pochodził, wychowany z dziecka na dworze, przyswoił się zupełnie, a był zwinny, żwawy, trochę łotrowaty, ale odważny jak stary i gotów się porwać na olbrzyma.

Chociaż miecznikowa wcale się o tę podróż nie troszczyła, będąc pewna, że Turcy i Tatarowie co innego teraz mają do czynienia, — sam stary, nie trwożąc się, ludziom pojedynczo zalecił jak największą ostrożność w podróży. Konry, brat Nikity, zawsze miał poprzedzać na kilka godzin dwór, a dano mu najlepszego konia, aby w razie niebezpieczeństwa jakiego mógł zawrócić i w czas dopaść z oznajmieniem. Dwóch ludzi składało straż tylną, reszta się gromadziła około kolebki*), wozu, na którym jechał ksiądz Żudra — i drugiego z obrokami zapaśnemi i kuchnią.

Jesień bardzo szczęśliwie trafiła się ciepła i pogodna. Noce bywały chłodne, ale dni gorące prawie. Pierwsze dni podróży szły bardzo pomyślnie; koń nie zakulał, koło się żadne nie popsuło, nie zgubiono niczego, a mimo krzyżujących się dróg, nigdzie się nie zbłąkano. Miecznik na karcie wypisał cały szlak i niemal popasy a noclegi tak rozumnie, iż się jego drogowskazu trzymano. Janasz Korczak prawie cały czas przy kolebce jechał konno, pannie tłómacząc, co rozumiał i ukazując, co mu w oczy wpadło.

Na popasach i noclegach, gdzie tylko kościół znalazł ksiądz Żudra, zachodził na plebanie lub do

*) Kolebkami zwano karety na posach, któremi w polsce jeździły bogate kobiety.

klasztoru, dostając wiadomości, a często i serdeczne przyjęcie.

Tak znaczniejszą część drogi odbyto i zbliżano się do granic Podola i do Gródka. Konie były trochę znużone, więc w Starym Konstantynowie dzień spocząć zamierzano. Ksiądz Żudra poszedł zaraz do OO. Dominikanów. Było to nad wieczorem. Przeora znalazł w domu i trafem dziwnym był nim dawny znajomy, niegdyś żołnierz także, ksiądz Jacek Zając, którego potem w habicie spotykał ksiądz Żudra. — Zobaczywszy go, aż się przeor przeżegnał.

Posadziwszy go tedy i lampeczkę wina kazawszy przynieść, począł wypytywać ksiądz Zając... Wszyscy naówczas ciekawi byli tej wyprawy króla Jana przeciwko niewiernym, o której sława się rozchodziła, że z innymi monarchami chrześcijańskimi zadać może cios śmiertelny potędze Turków w Europie.

— Ojcze najprzewielebniejszy — rzekł wkońcu — dajcież mi też dopytać się u was o to, czego potrzeba. Macie tedy wiedzieć, żem ja tu nie sam przybył, ale z dworem mojej pani a dobrodziejki, pani miecznikowej Zboińskiej z Mierzejewic. Jedziemy, mogę powiedzieć, na kraj świata. Święta i zacna jest pani nasza, ale gdy czego zapragnie — rozstąp się ziemio — musi to być. Mają miecznikostwo z dawnych lat na samem Podola pograniczu...

— Gródek — przerwał przeor — znam, wiem, bom tam bywał. Z wszelkim respektem dla pani miecznikowej waszej powiem wam, że prawdziwie kobiecym rozumem sobie tę podróż osnuła. Dojechać możecie, ale żebyście mieli cało powrócić — za to nikt rozumny nie zaręczy. Niebezpieczniejszego kąta nad ten w świecie niema. Tatarowie, Lipki, włóczęgi, bandy najrozmaitszego tałałajstwa tam sobie na kraju obrały siedlisko. Cóż wy im prosto w paszczę leźć chcecie? Nie macie nic lepszego do czynienia, tylko wypocząwszy w Konstantynowie, w imię Boże zawrócić do domu.

— Ale to nie może być! to być nie może — rzekł ksiądz Żudra. — Trzeba znać miecznikową — córka też dziecko prawie, ale mężnego ducha.

— Co? i z dzieckiem się wybrała? — zakrzyknął przeor. — Głowyście potracili?

— Co tu począć?

— Co począć? Zawracać! mówię wam, o podróży nie myśleć! Sądzicie, że wszyscy Tatarowie poszli na Wiedeń? Zostało tej szarańczy do zbytku. Nieprzebrana ćma na granicach czatuje.

Widząc, że ks. Żudra, głowę w rękach ukrywszy, mocno się zadumał, przeor mówił, ciągle chodząc i czarnego pociągając pasa, bo był dość otyły i miał zwyczaj go zawsze poprawiać, żeby mu do góry nie zbiegał.

— Nie chcę wam próżnego czynić strachu, ale nie dosyć, że Gródek ten w dziurze na samiutkiej granicy, a trzy zameczki też Turkami poosadzane, jeszcze tam mieszka istny dyabeł, którego sami zainstalowali. Wiecie, dlaczego nigdy na Gródek napaści nie było? bo ten łotr Dorszak z Tatarami się zna, na wioski ich naprowadza, łupami się z nimi dzieli. Znają go w okolicy, a wszyscy przed nim drżą. Udając się za dziedzica Gródka, boć nim prawie jest, ożenił się z córką bogatego Ormianina w Kamieńcu, której tam męczeńskie z nim życie... Wszyscy o tem wiedzą... Gdyby się udało królowi Janowi Turka wypędzić precz, niejedenby rachunek z Dorszakiem przyszedł na stół do zrobienia... Łotr z pod ciemnej gwiazdy! — zakończył przeor — ma w tem interes, aby mu tam nikt wody nie mącił, a miecznikowa sama mu się jedzie oddać w ręce.... To — chyba szaleństwo!...

— Mój ojcze, myśmy o tem wcale nie wiedzeli, to są rzeczy nowe — zawołał Żudra. — Łaska Boża i prawdziwa Opatrzność, żem, jakimś instynktem wiedziony, tu zaszedł i z wami się spotkał. Ale, mój ojcze, wy mi tego, dla miłości Zbawiciela, nie odmówicie, że pójdziecie ze mną do miecznikowej. — Choć to wszystko jasne, myślicie, że ja wierzę w to, iż się ta kobieta zlęknie i wróci?

— A no, dobrze — podchwycił przeor — gdyby mieli z sobą choć z pięćset ludzi dobrze uzbrojonych... a wieleż was jest?

— Wszystko wszystkiem do dwudziestu się ledwie doliczy...

Przeor głośno śmiać się począł, lampkę swoją wychylił i kładąc rękę szeroką na ramieniu księdza Żudry, rzekł:

— Uspokójcie się — nie damy jej zrobić tego szaleństwa. Pójdę do niej jutro sam, albo lepiej zaproście ją do nas na mszę świętą. Odśpiewam sam wotywę na ich intencyę do Ducha św., potem na śniadańko do mnie...

— Miecznik wam będzie wdzięczen — poparł ks. Żudra. — Okrutnie był markotny, bardzo się temu przeciwił, ale jejmości się zapragnęło, dziecku też.

— To tylko dowód, jak wy z dala kraju nie znacie — mówił przeor — kiedyście tam sobie mogli ten utrapiony kąt wyobrażać bezpiecznym.

Kapelan wyszedł jak zwarzony. Msza była zamówiona na godzinę dziesiątą. Powrócił do gospody do miecznikowej, wspomniał o przeorze, o zaproszeniu, przebąknął, że ludzie o okolicy, do której zmierzali, nie najlepiej mówią, ale szeroko się nie rozgadywał.

Szczęściem nazajutrz wyjaśniło się zrana, zostało tylko nieprzebrnione błoto wołyńskie, w którem ludzie częstokroć buty gubią, tak dobrze za nogi chwyta. Zaprzężono kolebkę, bo od Rynku do Dominikanów kawał drogi był dobry, a po tarcicach i cegłach przejście niewygodne. Kościół dziś stojący ruiną, naówczas wspaniale wyglądał. Ledwie weszli do niego miecznikowa z córką, kapelan i Janasz, i służba, wnet zasygnowano na wotywę i wystąpił przeor z asystencyą przed ołtarz św. Ducha. Zagrały organy, uradowały się dusze, bo nabożeństwo było piękne i wspaniałe. Zaledwie się skończyło, a ks. Zając przyszedł z pateną do miecznikowej, kapelan, który już wszystkie drogi znał, poprowadził gości do celi przeora. Tam go nie zastali jeszcze, bo się modlił po mszy, ale śniadanie gotowe było, a niewiele poczekawszy i ks. Zając z wesołą twarzą zjawił się, witając miłych gości i wyrażając radość, że ich w ubogim klasztorze przyjmować może.

Przyjęcie wszakże wcale ubóstwa nie oznajmowało i owszem, obfite było i pokaźne.

— Mówił mi wczoraj mój stary przyjaciel ks. Żudra — rzekł przeor — że się pani miecznikowa do Gródka wybrała, uszom wierzyć nie chciałem.

— A to dlaczego, księże przeorze dobrodzieju?

— Boć to turecka granica i zbójecki kąt, dokąd z dobrej woli niktby się nie wybrał.

Spojrzał na panią miecznikową, która właśnie śliwki z rożenka zdejmowała, lecz na jej twarzy nie dostrzegł najmniejszego strachu.

— A! mój ojcze — odpowiedziała śmiejąc się — strachy na Lachy. Z daleka wszystko straszne, ale my jakoś, choć kobiety, mężne serca mamy i nie trwożymy się, jak widzicie.

— Piękna to rzecz męstwo — odparł Dominikanin — ale naprózno się narażać...

— Cóż i kto nam uczynić może?

— Naprzód i droga, dojeżdżając wąwozami, nie bardzo od napaści bezpieczna — mówił przeor. —

Powtóre nie chce mi się mówić... ale podstarościego Dorszaka posądzają, że z rabusiami na jedno targuje.

— Toć dla nas bezpieczeństwo! — odezwała się spokojnie miecznikowa — bo swoim panom nie da krzywdy uczynić. Tyle się już drogi odbyło, niewiele co pozostało; gdybyśmy, stchórzywszy, powróciły, śmiech byłby niemały.

— Przyznam się jaśnie wielmożnej miecznikowej — przerwał przeor — iż wolę śmiech niż płacz.

— Bóg nie dopuści — spokojnie odparła pani Zboińska. — Jest nas kupka, ludzie dobrze zbrojni.

— Jeśli o stu Tatarów idzie — wtrącił się Janasz — ja z naszymi ludźmi stawię czoło śmiało, więcej zaś ich tam trudno pono teraz znaleźć, bo to się wszystko powlokło pod Wiedeń.

— Co asindziej mówisz! — zakrzyknął gorąco Dominikanin. — Wy tych krajów nie znacie. Mrowia tyle tam jest, że gdyby kilkadziesiąt tysięcy wyszło, dosyć na naszą klęskę zostanie.

Miecznikowa patrzyła na mówiącego nieulękniona.

— Jestci tam zamek obronny — rzekła — gdyby i napadli... Myśmy nie darmo żołnierskie córki i żony, dałybyśmy sobie rady! Gdybyś, księże przeorze dobrodzieju, naszych ludzi znał i ich męstwo, mógłbyś być tak spokojny, jak ja.

Ks. Zając tak był zdziwiony, iż mu na chwilę mowę odjęło. Patrzył na te kobiety nieulęknione, słuchał ich spokojnych odpowiedzi i żegnał się nieznacznie. Nareszcie westchnął głęboko.

— Życzę dobrze się namyślić — dodał — bo niebezpieczeństwo większe może, niż się zdaje.

— I wdzięczni jesteśmy jegomości dobrodziejowi za przestrogę — odezwała się miecznikowa — bo go połowa ubywa. Nieprawdaż, Janaszu — rzekła — że nam przez to nie ubędzie serca?

— Urośnie chyba! — odparł żwawo Korczak.

— Z uwielbieniem na to patrzę — wtrącił przeor — ale proszę o jedno. Raczcie ludzi spytać, niech powiedzą inni. Właśniem w kościele widział małego szlachcica, którego brat jest u nas w nowicyacie, Seniuta się zowie. Jeśli go zastanę, poproszę go, żeby przyszedł zdać sprawę.

Ruszył się przeor ku drzwiom i braciszkowi coś szepnąwszy do ucha, wysłał go zaraz po Seniutę. Kilkanaście minut upłynęło, nim się drzwi otwarły znowu i szlachcica wprowadzono, który przedewszystkiem przeora w rękę pocałował i niedaleko od progu zajął miejsce.

Osobliwa to była figura, więcej do siodła stworzona niż do piechoty. Mały, nogi miał od jazdy pokrzywione, jak dwa kabłąki, ramiona niemal tej szerokości, ile wzrost trzymał wyżyny, na nich głowa wielka, podgolona, z wąsem wiechciastym, czoło jakby trzema cięciami, trzema zmarszczkami grubemi przeznięte... Ręce spadały mu niemal do kolan, a buty do nich z drugiej strony dochodziły. Stać był może nie nawykł, bo się niespokojnie z jednej na drugą nogę przechylał i dreptał, a że jeszcze mówić nie miał co, więc chrząkał.

— Panie cześnikowiczu*) — odezwał się przeor — podobno od granicy jedziecie?

Tubalnym, nieco ochrypłym głosem, roześmiał się naprzód, gładząc czuprynę Seniuta.

— A no! a juścić — rzekł — co, bo to to... mosanie tego... (tu westchnął) rodzice kwaśne jabłka jedli, a dzieciom zęby cierpną... ale! mosanie... Mieliśmy tam piękne dobra! a teraz na psy zeszliśmy! A juścić...

*) Cześnikowicz, syn cześnika. W dawnej Polsce, gdy który sam nie miał urzędu, to go po ojcu tytułowano.

— I cóż tam słychać? spokojnie? — pytał ks. Zając...

Seniuta śmiać się począł i chrząkać... Chrząkanie mu snać służyło do zebrania myśli.

— Kiedyż to, mosanie, tego. . z pozwoleniem... w osiem gnieździe spokojnie?

— Ale Tatarów niema? — zapytał ksiądz.

— Jak niema? Tego paskudztwa kiedyżby to nie było? Ich niema a są! Pochowają się, ale tego, w mysie dziury, a raptem...

Tu szlachcic wrzasnął, naśladując wrzask dziczy, aż kobiety wzdrygnęły się.

— Razem... jak gradu! jak gradu!

Trudno się było z panem Seniutą rozmówić, więc przeor rzekł.

— Jaśnie wielmożna miecznikowa Zboińska oto właśnie wybrała się do swoich dóbr, pewnie je cześnikowicz znasz... ten Gródek, co na granicy?

— A... to Dorszaka Gródek? — podchwycił Seniuta.

— To nasz podstarości — rzekła miecznikowa.

Seniuta oczy mocno rozwarł i usta odął.

— Ale tego... — bąknął — a on się tam dziedzicem mieni.

— A bezpiecznież tam jechać? — pytał ksiądz.

Cześnikowicz stąpając z nogi na nogę, namyślał się i odchrząkiwał.

— Łgać przed jaśnie wielmożną panią i przed księdzem przeorem najłaskawszym, u którego mój rodzony znalazł przytułek, niech mnie Matka Boska broni — rzekł powoli. — To się po Seniucie nie okaże... Zeszliśmy na psy, niema słowa; aleśmy psu oczu nie sprzedali, ale tego... Więc powiem całą prawdę. Dorszak urwisz, a okolica — jak w pokrzywach. A no, żeby dla wilka nie iść w las, to znowu, mosanie, nie wypada. Może być awantura, może ujść na sucho... Na dwoje babka wróży.

Miecznikowa się uśmiechnęła.

— Masz waćpan zupełną słuszność, panie cześnikowiczu — zawołała. — Ja dlatego jadę właśnie, że Dorszak urwisz, boć go stamtąd wyprzeć raz trzeba. Dziesięć lat złamanego grosza nie daje. Dokąd waćpan jedziesz, panie Seniuto? — spytała miecznikowa.

— Niby ja? — wskazując na siebie odezwał się.

— Tak, waćpan.

— Przyjechałem brata odwiedzić, bo mi się śniło, że jadł kwaśne mleko, myślałem, Boże uchowaj, czy mu się jakie nie trafiło nieszczęście... No! a złożywszy uszanowanie księdzu przeorowi i uściskawszy brata — co mam robić? Powrócę na folwarczek.

— Przyłączże się waszmość do nas — zawołała miecznikowa — naprzód koń nic kosztować nie będzie, a potem, jak da Bóg do Gródka... jeszcze się coś znajdzie.

Skłonił się do samej ziemi cześnikowicz i rzekł:

— Na przewodnika zdam się, a gdyby przyszło i ognia krzesać*)... przecież to Seniutów krew nie zawiedzie...

Próżno już było i pracować nad panią miecznikową, która pożegnawszy przeora, zostawując ofiarę na kościół, odjechała do gospody. Zaraz tedy, nie czekając, broń kazano w Konstantynowie opatrzyć, ludziom ładunki pobrać, a że się pod noc wyjaśniło, nazajutrz w dalszą podróż dodnia wyruszyć miano.

*) »Ognia krzesać« — tak nazywała szlachta polska walkę na szable.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ODJAZD MŁODZIEŻY NA WOJNĘ.



W całej Rzeczypospolitej polskiej zawrzało. Król Jegomość rozesłał wici i powołał pospolite ruszenie na wyprawę przeciwko Turkom i Tatarom. Każdy kto ma broń przy boku, siłę i zdrowie, siada na koń i spieszy do miasta powiatowego, gdzie się zbiera na wojnę szlachta konna i pułki łanowej piechoty włościańskiej. Z zaścianka litewskiego, (takiego o jakim czytamy w *Panu Tadeuszu* Adama Mickiewicza i w *Potopie* Henryka Sienkiewicza), wyjeżdża trzech dziarskich młodzieńców, a krewni: starcy, kobiety i dzieci — żegnają ich i błogosławią na walkę z wrogiem ojczyzny.

Czem gasić pragnienie w czasie żniw?

Podczas największych upałów lipcowych i sierpniowych ponosi lud roboczy po wsiach najwięcej mozołu i pracy. Skoro bowiem nadejdzie czas żniw, trzeba wytężać wszystkie siły, celem spiesznego sprzątania plonu, aby ludziom po wsiach i miastach nie zabrakło chleba powszedniego.

Praca żniwa wymaga nietylko natężenia wszystkich sił, lecz wywołuje nadto, wskutek panujących zazwyczaj upałów, nadmierne pragnienie. To ostatnie staje się nieraz więcej dokuczliwem, aniżeli zmęczenie, następujące po całodziennej, znojnej pracy. Wartoby się przeto zastanowić, w jaki sposób najlepiej usunąć w czasie upałów żniwnych to dręczące uczucie, które wszyscy nazywamy pragnieniem. Większa część naszych rolników powie nam, że wcale niema potrzeby zajmować się bliżej tą sprawą, bo istnieje napój dobry i tani, który nietylko gasi pragnienie, lecz nadto pokrzepia upadające siły. Tym napojem jest, według ich zdania, wódka.

Wiemy dobrze, że częstowanie wódką podczas żniw stało się dzisiaj zwyczajem, wiemy, że robotnik więcej ma zaufania do tych pracodawców, którzy hojnie częstują wódką, aniżeli do tych, którzy zamiast wódki dają inne napoje lub wynagrodzenie pieniężne. Mimo to, lub właśnie dlatego z całą stanowczością twierdzimy, że ani wódka, ani jakikolwiek inny napój alkoholowy (upajający) nie nadaje się wcale jako środek gaszący pragnienie. Dlaczego?

Najpierw dlatego, że regularne używanie wódki może wywołać to, co nazywamy nałogiem pijaństwa. Jedynie ten, który nie używa wcale napojów upajających, może ręczyć, że nigdy nie zostanie nałogowym pijakiem. Natomiast uczy nas doświadczenie, że ci, którzy nauczyli się wychylać kieliszek i w dodatku codzień lub kilka razy dziennie, przyzwyczajają się nieraz do wódki tak dalece, że się bez niej obyć nie mogą. Stąd do nałogowego pijaństwa jest już tylko jeden krok. A wiadomo każdemu, że nałóg pijaństwa jest wielkiem nieszczęściem tak dla samego pijaka, jak i dla jego otoczenia.

Powtóre nie należy gasić pragnienia wódką dlatego, że ten napój zawiera w sobie truciznę, alkoholem zwaną. Uczeni robili z tą trucizną różne doświadczenia, aby stwierdzić jej szkodliwość. Wskutek tych doświadczeń wiemy dzisiaj, że alkohol należy do rodzaju t. zw. trucizn odurzających, do których zaliczamy np. opium, morfinę, nikotynę itp. Wszystkie te trucizny używane w większych dawkach, zabijają człowieka odrazu. To też słyszymy raz po raz o wypadkach, że lekkomyślni ludzie, po wypiciu większej ilości wódki, padli na miejscu trupem. W mniejszych ilościach używane, wywołują początkowo nieznaczne szkody w ciele ludzkiem, lecz przy dłuższem, zwłaszcza regularnem używaniu, stają się przyczyną różnych dolegliwości i chorób. Nieraz ludzie, pierwotnie zdrowi i silni, zaczynają wskutek regularnego używania trunków alkoholowych chorować to na żołądek, to na wątrobę, nerki, płuca itp.

Po trzecie należy wystrzegać się napojów upajających w czasie żniw dlatego, że te napoje nie gaszą pragnienia, lecz przeciwnie, potęgują je. W pierwszej chwili wprawdzie uśmierza kieliszek wódki lub wina uczucie pragnienia, lecz po krótkim czasie wraca ono ze zdwojoną potęgą. Inaczej to być nie może. Wiadomo bowiem, że alkohol znajdujący się w trunkach upajających, ma tę właściwość, iż wchłania w siebie chciwie wszelką wilgoć. Skutkiem tego wysusza wódka itp. trunki w pewnym stopniu krtań i żołądek, tak, że powstaje na nowo to, co chcieliśmy usunąć tj. pragnienie. Tem się tłómaczy znane zjawisko, że pijacy, mimo wychylania licznych kieliszków, bezustannie mają pragnienie.

Dlatego też unikają starannie wszelkich napojów odurzających ludzie doświadczeni, którzy ponoszą wielkie trudy wśród największych upałów. Słynny podróżnik szwedzki, Sven Hedin, który z narażeniem życia przebywał gorące piaski pustynne środkowej Azyi, jest stanowczym przeciwnikiem wszelkich napojów upajających. Podobnie wyraża się Dawid Livingston, sławny badacz Afryki, który w czasie swych podróży znosił trudy, o jakich my pojęcia nie mamy, tak że nieraz wskutek nadmiernego pragnienia bliskim był śmierci.

Jeżeli zatem lud polski w czasie upałów żniwnych tak chętnie pije wódkę, to wynika ten smutny objaw najpierw z braku dostatecznej oświaty, a powtóre ze zwyczajów od wieków zakorzenionych, przechodzących z ojca na syna. Lecz raz trzeba przecież otrząsnąć się z tych zgubnych zwyczajów. Pracodawcy, którzy dobrze życzą swym pracownikom, powinni stanowczo znieść t. zw. poczęstne w czasie żniw, a robotnicy nie powinni się o to gniewać.

Ma się rozumieć, że należy się postarać o to, aby żniwiarze zamiast trunków upajających mieli pod ręką inne dobre i zdrowe napoje. Chłodna źródlana woda, zawsze najlepiej jeszcze spełni swe zadanie. Można do niej dodać cokolwiek octu i cukru. Aby się na słońcu nie rozegrzała, należy zakopać beczkę z wodą i przykryć gałęziami. — Dobra studzienna woda nie zaszkodzi nigdy, choćby się ją piło w zgrzanym stanie. Lecz trzeba się wystrzegać łakomego i szybkiego picia, zwłaszcza, jeśli woda jest nadto zimna. — Wody z rowów, sadzawek nie należy pić nigdy, gdyż czasem mogłyby się tam znajdować zarazki jakich chorób np. tyfusu.

Obok wody istnieje mnóstwo napojów nieszkodliwych, smacznych, a gaszących doskonale pragnienie. Łatwo np. zrobić sobie na poczekaniu sztuczną wodę sodową. Do 1 litra wody dodaje się łyżeczkę octu i 1 łyżkę sody aptecznej (natron bikarbonikum). Cały litr tego napoju nie kosztuje ani 2 halerzy.

Nie źle gasi też pragnienie czarna kawa, maślanka i t. p.

Jeżeli ktoś, mimo powyższych wywodów, będzie obstawał przy tem, że bez wódki niepodobna wykonać robót żniwnych, to z całą pewnością twierdzimy, że to się tylko tak zdaje. A zdaje się dlatego, że ten ktoś zawsze pił wódkę, a nigdy nie próbował nawet czem innem gasić pragnienia.

Spróbujmy choć przez jedne żniwa obyć się bez napojów alkoholowych, a potem zobaczymy, czy wielu z nas nie zmieni zdania. Przecież nie wszędzie i nie wszyscy żniwiarze piją wódkę, a trud jest wszędzie równy.

Wkońcu jeszcze jedna uwaga: Jeżeli pracodawca nie chce być posądzony o to, że z nieżyczliwości i chciwości zniósł dotychczasowy zwyczaj poczęstnego, niechaj pracownikom w miejsce wódki wypłaca odpowiednie wynagrodzenie pieniężne.

Nie ulega wprawdzie wątpliwości, że zmiana istniejących zwyczajów, choćby one były, nie wiem jak, szkodliwe, budzi zawsze tu i owdzie niezadowolenie. Lecz to tylko chwilowo.

Lud polski ma tyle rozumu i sumienia, że wnet pozna się na tem, o ile taka zmiana jest dla niego korzystną i z wdzięcznością uzna dobre skutki.

Dokument o śmierci Jezusa Chrystusa.

Jedna z gazet niemieckich donosi: Niedawno temu dokonano odkrycia olbrzymiej doniosłości. Dotyczy ono historycznego zawiadomienia o śmierci Jezusa Chrystusa.

W pewnej kaplicy rzymskiej znajduje się jedna z tablic, na której napis posiada olbrzymie znaczenie dla całego świata chrześcijańskiego. Napis ten w języku starohebrajskim podaje tekst wyroku śmierci, wydanego przez namiestnika Poncyusza Piłata. Według przekładu komisyi francuskiego »Towarzystwa sztuk« w Paryżu, wyrok ten głosi co następuje:

»Wyrok, wydany przez Poncyusza Piłata, namiestnika Dolnej Galilei, głoszący, że Jezus z Nazaretu musi ponieść śmierć na krzyżu.

— Siedmnastego roku rządów Cezara Tyberyusza i dnia 25 miesiąca Marca, w świętem mieście Jeruzalem, kiedy Annasz i Kaifasz byli arcykapłanami Bożymi, Poncyusz Piłat, namiestnik Dolnej Galilei, siedząc na prezydyalnem krześle, skazuje Jezusa z Nazaretu na śmierć krzyżową między dwoma zbrodniarzami, ponieważ wielkie i wiarogodne świadectwa ludu głoszą, że 1) Jezus — zwodziciel; 2) Jezus — wichrzyciel; 3) Jezus — wróg prawa; 4) Jezus kłamliwie nazywa siebie Synem Bożym; 5) Jezus kłamliwie nazywa siebie królem izraelskim; 6) Jezus wszedł do świątyni otoczony tłumem ludu, niosącym w rękach gałązki palmowe; — i rozkazuje pierwszemu centuryonowi Kwirytowi Kornelowi prowadzić Go na miejsce kaźni i zabrania wszystkim ludziom, zarówno biednym jak i bogatym, sprzeciwiać się śmierci Jezusa. Świadkami, którzy podpisali wyrok przeciwko Jezusowi są: 1) Daniel Robani, faryzeusz; 2) Jan Zarabatel; 3) Rafał Robani; 4) Kaper, księgarz. Jezus będzie wyprowadzony z miasta przez bramę Saereńską«.

Po stronie tekstowej znajduje się zakończenie: »Taką samą tablicę posyła się każdemu pokoleniu«.

Z wyroku tego na Chrystusa Pana widać całą przewrotność i złość Faryzeuszów na Zbawiciela świata! Nazywa Go wyrok zwodzicielem, wichrzycielem, wrogiem prawa! Nazywa tak wielkiego Nauczyciela ludu, który ustanowił największe w świecie prawo: »Kochaj bliźniego, jak siebie samego!« prawo, które przetrwa do końca świata. Gdyby na niem tylko opierali się ludzie, nie byłoby na ziemi krzywdy i zbrodni, nie byłoby wojen i morderstw. Piłat wyrok podpisał i z jego rozkazu go wykonano, lecz tymi, którzy właściwie Chrystusa Pana wyprowadzili na Golgotę, byli faryzeusze i podszczute, ogłupiałe bezmyślną nienawiścią pospólstwo żydowskie, a namiestnik rzymski liczyć się musiał z ludem i kapłanami żydowskimi.

Śmierć „człowieka leśnego".

Klęski i zawody życiowe, bolesne przejścia, strata najdroższych osób, skłaniają często ludzi ciężko losem dotkniętych do skupienia się, modlitwy i samotności. Na świat, na którym dotąd żyli, a który napoił ich tylko żalem i goryczą, nie dziw, że patrzeć już nie chcą i usuwają się zeń z pragnieniem: dalej od ludzi, bliżej Boga. I wówczas tacy osobliwsi ludzie porzucają zgiełk i wrzawę ludnych miast, ich rozrywki i przemijające przyjemności — i starają się ukryć gdzieś tak, aby już tych, wśród których żyli, więcej nie widzieć, napawać się ciszą i samotnością i nie mówić z nikim, jeno z Bogiem w gorącej modlitwie. — Świat nazywać ich może dziwakami, nawet poniekąd waryatami, gdy mogąc żyć wygodnie w mieście i posiadając mienie — idą w lasy odludne i tam mieszkają, wiodąc pustelniczy żywot. Ale bądź co bądź ludzie niezwykli.



O podobnym dobrowolnym pustelniku, co zamieszkał w lesie, piszą właśnie gazety niemieckie. Człowiek ten, jeszcze nie stary, parę lat przemieszkał tak w odosobnieniu, w leśnej pustelni. Nie było nic bliżej wiadomo, jak spędzał swe dni samotne, czem wypełniał czas od wschodu do zachodu słońca. Ciekawe też było, czem się żywił, szczególnie w porze, gdy las człowieka wyżywić nie może: późną jesienią i w zimie, bo rzadko zachodził do domów. Ludzi we wsi unikał, ze spotkanymi rozmawiał wprawdzie uprzejmie, lecz krótko, i o przeszłem swojem życiu nikomu nic nie opowiadał. Najchętniej przestawał z dziećmi, gdy spostrzegły go w borze.

Raz się zdarzyło, że rozjuszony byk ścigał z pastwiska 10-letnią dziewczynkę i wpadł za nią do lasu. Szczęściem znalazł się w pobliżu przechodzący z potężną kłonicą ów pustelnik i z odwagą rzucił się na ratunek dziecka. Uderzeniami kłonicy ogłuszył byka i odpędził a dziecko ocalił. Wdzięczna matka nie miała potem dlań wyrazów podzięki za ten szlachetny czyn. Przyniosła mu ze wsi chleba, masła, sera, a potem i inni wieśniacy i dzieci znosili mu różne dary, które przyjmował, lecz prosił, by tego zaniechano. Niedawno temu matka uratowanej córeczki przyszła ze swojemi i kilkorgiem dzieci sąsiadów odwiedzić pustelnika. Lecz jakież było jej przerażenie i żal, gdy ujrzała, że dobry ten człowiek leży martwy opodal swej pustelni! W ręce trzymał krzyżyk drewniany, obok na pniaku leżała książka do modlenia, otwarta w miejscu, gdzie była modlitwa o śmierć szczęśliwą. Jakaż ta śmierć samotnika musiała być szczęśliwą, musiała ukoić serce, któremu życie niejedną ciężką ranę zadało, bo na martwych licach przywarł błogi uśmiech, podobny do uśmiechu śpiącego, niewinnego dziecka. Obrazek nasz przedstawia właśnie tę chwilę po śmierci a drugi pustelnika siedzącego, gdy jeszcze żył.

Rubin wezyrski.

Powieść z roku 1810.

IV. Stary cmentarz.

I skłoniwszy mu się, ruszyłem do furtki, którą widziałem na końcu alei, a skąd zdało mi się, że łatwo dostanę się do wsi. Jakoż miedzami, wśród bujnych zbóż, doszedłem do samego wzgórza, na którem sterczała ruina kościółka. Dzień był skwarny, a przytem południe bliskie, więc słońce warem lało na spieczoną ziemię. Zmęczony bezsenną nocą i gorącem, zaniepokojony nieco położeniem mojem w tym domu i wypadkami, jakie mogą nastąpić, dziwnie wzruszony widokiem pięknym postaci Julii, wdrapałem się na owo wzgórze i pod dużym krzakiem jałowcu położyłem się w cieniu, by trochę odpocząć i odetchnąć. Wokoło mnie sterczało z pośród krzaków i zielska bujnie rosnącego, kilka głazów skalistych, nagich, na których wygrzewały się jaszczurki.

Widać stąd było wybornie ogród dworski i sam dwór, którego dach, czerwoną dachówką kryty, migotał się pod blaskiem słońca; widać było zielone story w oknach i taras wychodzący na ogród, na którym to tarasie w wielkich drewnianych donicach stały dziwne kwiaty. W powietrzu, migocącem jak brylantowy pyłek, roiły się muszki, czasem zabrzęczała pszczoła — i od zboża szedł świegot koników polnych. Zresztą była cisza niczem niezamącona. Na czystym lazurze nieba nie było najmniejszej chmurki, żadnej plamki, od czasu do czasu tylko przebiegła jaskółka, lub skowronek zatrzepotał w skrzydła, zawisł w górze i śpiewał.



...i zdołałem odczytać te słowa.

Chciałem nieco pomyśleć, a jednak nie mogłem. Umysł mój nocą w marszu spędzoną i gorącem był dziwnie obezwładniony. Napróżno się siliłem zebrać nieco myśli, rwałem mimowolnie mech pokrywający głazy, poglądałem na grzejące się jaszczurki i ciągle widziałem przed sobą albo szafirowe oczy Julii, albo drwiące oczy Hiszpana, albo jaskrawe wstążki u czepca cioci. Oczy mi się kleiły i gwałtowny sen mnie morzył, pot kroplami spływał mi po twarzy. Nie chcąc zasnąć na tej skale, podniosłem się z trudnością i począłem piąć się dalej pod górę.

Góra ta była skałą, pełną stromych głazów, porosłą gęsto krzakami jałowcu, głogu i wszelakiego zielska. Na szczycie wznosił się tylekroć wspomniany kościółek, otoczony gromadą przepysznych starych lip, klonów, świerków, modrzewia i jałowców. Był to maleńki lasek, rozciągający się od kościółka aż do stóp wzgórza, od jego strony zachodniej. Wszedłszy w niego, potknąłem się, spojrzałem nagle na dół i spostrzegłem duży, płaski kamień z napisem:

D. O. M.
Tu spoczywają zwłoki
Fati... Tur... Suł...

reszta była tak zatarta, że domyśleć się nie mogłem.

— Co to jest? — szepnąłem — cmentarz?

Spojrzałem wokoło. W istocie był to stary, zaniedbany cmentarz. Znać jeszcze było mogiły, acz gęstem zarosłe zielskiem, gdzieniegdzie kamienie grobowe lub krzyże... Wszystko to było opuszczone, smutne, posępne nad wyraz. Stałem tak chwilę, patrząc na ów pierwszy głaz, o który się potknąłem i nagle przypomniałem sobie, że we dworze, niedaleko od mej kwatery, jest pokój, zwany »sułtańskim«.

— Czyżby to była mogiła jakiego sułtana tureckiego? — spytałem się siebie.

Ukląkłem, party jakąś niewytłómaczoną ciekawością, odgarnąłem zielska, wytarłem chustką kamień i zdołałem jeszcze odczytać te słowa:

»Zgasła w Bogu A. D. 1686 d. 24 czerwca.
Ten kamień położył jej Jac... Bog...
Cześnik..... A. D. 1786 d. 24 czerwca.
Prosząc o Zdrowaś M. ..«

— W sto lat po śmierci położono jej kamień grobowy — szepnąłem — umarła dnia 24 czerwca...

Wstałem, obtarłem czoło z potu i rzekłem:

— Dziwna rzecz, jak mi się ciągle przypomina to, co mi ten... Hiszpan... mówił: sułtańska komnata! oczywiście wyraz niedokończony »Suł...« oznacza sułtankę — dziwna rzecz — i mówią o smutnej rodzinnej tradycyi, przywiązanej do tego kościółka.

Spojrzałem na ten kościółek. Stał on pośród drzew smutny, zrujnowany, czarny, o popękanych i walących się ścianach. Dach, niegdyś cegłą kryty, która gdzieniegdzie na krokwiach zdołała się jeszcze utrzymać, był podziurawiony, pozapadany, połamany. Była to zupełna i ze wszech miar smutna ruina. Zbliżyłem się do niego depcąc mogiły, kamienie grobowe z napisami i bez. Na ścianach ruiny było także kilka tablic marmurowych, poświęconych przeważnie zmarłym członkom rodziny Bogdańskich. Zajrzałem przez małe okratowane okienko do katakumb będących pod kościółkiem i przy jasnym blasku dnia ujrzałem w nich trumny popękane, porozpadane, z których gdzieniegdzie patrzyły czarnemi oczyma trupie głowy. Wiała stamtąd stęchlizna grobowa... Pod dachem, z dziur, zwieszały się garście słomy, mchu... prawdopodobnie gniazda sów i puszczyków.

Smutny jakiś, znękany, obszedłem kościółek i zbliżyłem się do jego drzw frontowych. Na bramą odwieczną, trzymającą się jeszcze cało, dzięki żelaznym sztabom, jakiemi była obita, świecił na marmurze wytarty nieco napis łaciński:

»Kościół ten.....
kosztem swoim...
Jan Bogdański, Kasztelan sandomier..
R. P. 1686«.

— A więc stawiany współcześnie z jej śmiercią! — szepnąłem i spojrzałem wokoło.

Przedemną, w dole nieco, leżała wieś i kręciło się po niej kilku moich ułanów. Dalej z poza dachu jednej chałupy sterczało kilka lanc w piramidę uło-

żonych, których chorągiewkami wiatr lekko szamotał. Słychać też było śmiechy i śpiewy.

Poznałem głos najlepszego śpiewaka w plutonie, mazura z pod Ciechanowca, noszącego zabawne nazwisko »Ogon« i począłem się spuszczać z góry wąską drożyną do wsi.

Zobaczywszy moją dzielną wiarę, ożywiłem się nieco, pierzchły smutne myśli. Obejrzałem konie czy nakarmione i wyczyszczone, zajrzałem do każdej kwatery, skosztowałem obiadu i wezwawszy wachmistrza plutonu, nakazałem mu, ażeby jutro o godz. 5 rano pluton w paradnych strojach stanął na drodze ku dworowi, gdyż chcę go nieco wymusztrować.

— Oprócz tego — dodałem — od jutra żeby mi jeden żołnierz konno i zbrojno codzień stawał we dworze na posyłki.

— Dobrze, panie poruczniku — odrzekł stary wachmistrz.

Wydając rozkazy, szedłem powoli, a za mną wachmistrz i mimowoli skierowałem się na drożynę ku kościółkowi.

— Już możesz odejść, Marcinie! — odezwałem się do wachmistrza.

— Przepraszam pana porucznika — rzekł tenże z zaambarasowaną i arcygłupowatą miną — ale jabym, z przeproszeniem, chciał coś rzec, jeno nie wiem jak...

Zatrzymałem się i spojrzałem na wąsacza, który się niemiłosiernie krzywił i jeszcze niemiłosierniej drapał po uczciwie wystrzyżonej głowie:

— Co chcesz, stary, mów!

— A to, panie poruczniku, może ja tam z przeproszeniem i głupi jestem, alem ja też stary ułan i wyjadacz nielada, a co wiem, to wiem...

— Więc cóż, gadaj prędko, bo mi się spieszy — rzekłem patrząc na zegarek. Była już godzina druga.

— Ano... powiem zaraz, ja też to gadam z dobrego serca, do stu lanc! Widziałem ja niejedne zwaliska, ale takich okropnych jak te — i wskazał na kościółek — nie widziałem, a ludzie też po wsi gadają, że niebezpieczna jest tam chodzić, bo i duszę i ciało zatracić można. Więc, skorom widział, że pan porucznik tamtędy idziesz, strach mię wziął i chciałem już kazać trąbić na trwogę, by biedz porucznikowi na pomoc, bo to panie poruczniku zginąć od kuli, od lancy, ano wielka mi rzecz, ale do krocset bomb, zginąć dyabeł wie od czego, to źle...

— Głupstwa gadasz, stary — rzekłem na to — dzień, południe.

— Cóż, że południe, ale co ludzie gadają, to gadają i ja zaklinam pana porucznika, żeby tamtędy nie szedł...

— Ale cóż ludzie gadają?

— Ano... z przeproszeniem gadają, że tam leży jakaś bisurmanka, poganka okrutna, co tumani ludzi i do grobu ich wciąga i dusi... gadają, że ją tam kiedyś umęczyli we dworze... a już najgorzej dokazuje w noc świętojańską...

— Głupstwa pleciesz, torby sieczki nie warte. Idź do koni, a jutro o świcie żeby mi pluton był gotów.

Stary umilkł, a ja poszedłem drożyną dalej. I wreszcie nie mogłem inaczej zrobić, choćby dlatego, żeby przekonać żołnierzy o niedorzeczności owej baśni. Ale dało mi to dużo do myślenia.

— Więc nie omyliłem się — mówiłem sobie — pod tym kamieniem spoczywają zwłoki turczynki »Sułtanki«, data śmierci, wyryta na grobie, zgadza się z datą ludowego podania, więc ta smutna tradycya rodzinna, to morderstwo!.... Szczególna rzecz.

Wzdrygnąłem się. Stałem już pod kościółkiem. Cisza była jak przedtem, tylko koniki polne świegotały i skowronek gdzieś pod błękitem wyśpiewywał. Smutny, acz pełen jakiegoś zabobonnego strachu, przeszedłem koło ruiny i depcąc po mogiłach, stanąłem nad grobowcem sułtanki. Wstrzymałem się mimowolnie, popatrzyłem chwilkę i już miałem iść dalej, gdy nagle błysło mi coś pod słońce. Zostałem niby piorunem rażony i nachyliwszy się, spostrzegłem na grobowym kamieniu, świeżo przezemnie oczyszczonym z pleśni i mchów, jasny, świecący guzik metalowy.

— Przecież to nie mój — rzekłem, podnosząc go. Jakoż nie był on moim, już dlatego samego, że guziki nasze były białe i miały na sobie obok herbu księstwa, numer pułku, a na tym guziku wybity był jakiś dziwny herb, złożony z orłów, gryfów, hełmów, krzyżów itp. Zaraz mi przyszedł na myśl granatowy frak Hiszpana i jego świecące guziki.

— Czyżby mię szpiegował? — szepnąłem, oglądając się dokoła.

Ale wkoło była cisza niczem nie zamącona.

— Ej, do stu bomb! — mruknąłem — niech on ze mną nie żartuje!

Serdeczną miałem ochotę wrócić się, huknąć na ułanów i kazać przetrząść całą górę, a złapawszy Hiszpana, dać mu cichaczem, w lasku, małą nauczkę bizunową. Ale wstrzymałem się.

— To mnie do niczego nie doprowadzi, zresztą jego tu już zapewne niema, nie głupi czekać, trzeba z nim inaczej grać. Dowiem się przecież, co to znaczy. Zresztą skądże pewność, że ten guzik należy do Hiszpana.

Schowałem guzik w celu porównania go z guzikami u fraka Hiszpana i wolno zeszedłem z góry. W ogrodzie dworskim nie spotkałem nikogo, tylko na tarasie siedział Hiszpan i paląc fajkę czytał najspokojniej jakąś książkę. Spostrzegłszy mię, powstał.

— Cóż, ze spaceru?

— Nie, byłem u moich żołnierzy — odrzekłem, spoglądając z ukosa na jego frak.

— Aaa! — mruknął i puścił kłęb dymu.

Ja tymczasem nic nie dojrzawszy, przeszedłem koło niego w zamiarze udania się do siebie.

Na schodach spotkałem starego kamerdynera.

— Obiad o której u was? — spytałem.

— O trzeciej, jaśnie panie.

— Obudzisz mię o trzeciej, bo chcę spocząć nieco, albo lepiej powiedz o tem memu ordynansowi.

Przyszedłem do siebie, rzuciłem się na łóżko i zaraz zasnąłem snem kamiennym.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Gdzie Ojczyzna moja?

Gdzie Ojczyzna moja, rodzinny kraj,
Ta polska kraina, ten raj?
O tam! gdzie sławne góry Karpaty,
I lud uczciwy, choć niebogaty.

Gdzie przejrzysta Wisła płynie,
Gdzie nasz stary Kraków słynie,
Gdzie pobożny lud odwieczny,
Zawsze dzielny i waleczny.

Gdzie praojców dzieje sławne
I zwyczaje starodawne,
Gdzie Krakusa stary gród
I Lechitów sławny ród.

Gdzie te polskie miasta wioski
I te ludu rzewne piosnki,
Gdzie pszenicy bujny zwój,
Tam ojczyzna, tam kraj mój.

Polak.



MACIEK BZDURA GADA:

Najpaskudniejszą z wszyćkich rzeczy na świecie to zazdrość. Ale choć ona taka brzydka, to i tak jej tyle na ziemi jest, co niemiara. Kuzden stan, cy to pański cy chłopski, wsiowski cy miescański, ma tej zazdrości tyle, zeby jej wystarcyło na miliony lat i la dziesięciu takich światów, jak ten nas, na którem zyjemy.

Weźmy na to mojego gospodarza, to oni mi zazdroscą, ze ja se jestem kawalir i wolny jak ptak na grusce, a mnie znowu to casem zazdrość zbira, jak zuźrę, ze gospodarz zeniaci i mają wszyćkie wygody, których ja ni mam.

Kaśka zazdrości gospodyni i tej chustki, co ją przed gospodarzem w skrytości kupili a pedzieli, ze to po niebosce matusi i tej wziętości sąsiedzkiej jem zazdrości i wszyćkiego zazdrości.

Chłop wsiowy zazdrości urzędnikowi z miasta, ze on ino po papirze piórem pogrzebie i za to piniądze bierze a cepów ani pługa się nie ima; a znowu taki pan miastowy pada, ze chłop to ma i grunt i chałpę i świze powietrze za durno, a on ani chaty, ani gruntu, ani powietrza własnego nima, ino z tych dziesięciu palców musi babę i dziecisków chmarę całą chować.

Bidny zazdrości bogatemu jego majątku i jego dostatków, a za to bogaty powiada, ze bidny najscęśliwsy, bo choć mało ma, to mu i mało potrzeba, a nie zna tych strapień i kłopotów, jakie ma kuzdy bogaty.

A juz o zazdrości w kochaniu, to skoda i gadać! Zebyś się zakochał i w starej wierzbie, co przy drodze Bartkowej stoi, to ci i tego zaraz będą chłopaki zazdrościć i na zawadzie stawać. A nietylko chłopaki, ale wszelaki rodzaj niewieści ze zazdrości weźmie was zawse na języki i scęśliwości wasej wiecystej stawał będzie na zawadzie.

O prawdziwości tego, co padam, przekonałem się na sobie i na Kaśce. Jagem ino pedzioł, ze z Kaśką mawa się ku sobie, to wszyćkie białegłowy — panna nie panna, hrabianka nie hrabianka — zacęły się mi podlizywać, abym Kaśkę puścił w trąbę, a w nich się zakochał. Ale ja jestem kwardy i do samego ślubu Kaśki miłować nie przestanę, bo Kaśka świarniejsa niz panny miastowe, a ze w robocie wytrzymalsa, to i w kochaniu prędzej se radę da, a to grunt.

Mojej wziętości u ludzi uzazdrościli mi wsiepolaki i kupili se jakiegosik Jędrka Mędrka, zeby w ich gazycie gadał, ale jego gadanie naprzeciw mego, to tak ja pana organisty naprzeciw Jegomościowego. I nie dziwota, bo trudno, aby kowal robił buty.

I tak tedy ten temu a tamten tamtemu wszyćkiego na tej świętej ziemi zazdrości, a ino tego, co kuzdy z nas miał będzie po śmierci, to jest tej odrobinę poświęcanej ziemi ani rus nikt zazdrościć nie chce.

Z TYGODNIA.

Odjazd cesarza do Ischlu. Żaden z monarchów europejskich nie jest tak kochany i taką czcią otaczany przez swoje ludy, co sędziwy cesarz austryacki Franciszek Józef I. Częstym jego choć niedalekim podróżom z Wiednia towarzyszą zawsze serdeczne i gorące okrzyki zebranych tłumów publiczności, będące wyrazem uczuć mieszkańców dla cesarza. W dniu 17 b. m. przybył cesarz z Ischlu do Wiednia, gdzie wobec obu Izb Rady państwa wygłosił mowę tronową. — Obrazek nasz przedstawia chwilę, gdy monarcha przy pomocy jednego z członków świty cesarskiej wsiada do wagonu, opodal zaś żegna go liczna publiczność.



W ślicznej kąpielowej miejscowości Ischl, gdy niedawno tam przybył, mieszkańcy i goście kąpielowi zgotowali mu serdeczne przyjęcie. Okrzykom na jego cześć, gdy z jedną z córek arcyksięcia Franciszka Salwatora jechał powozem do swojej willi, nie było końca. — Szczególne wzruszyło go powitanie dzieci szkolnych, uszykowanych przy drodze, to też z wyróżniającą serdecznością je witał. Mimo późnego wieku cesarz cieszy się stale dobrem zdrowiem, pracuje od godz. 4 rano codziennie przy biurku, odbiera raporty dostojników cywilnych i wojskowych, ciągle zajęty troską o dobro i pomyślność państwa. Teraz podczas letniego wypoczynku ten niezmiernie pracowity ukoronowany starzec, z polecenia lekarzy musi jednakże zgodzić się na parę tygodni prawdziwych wakacyi. Tylko więc najważniejsze sprawy będą mu przedkładane, nie będzie też przyjmował odwiedzin zagranicznych monarchów i książąt.

Mowa tronowa. Jak pisaliśmy, przy otwarciu każdej nowo zebranej Rady państwa wygłasza cesarz t. zw. mowę tronową, która zawiera program prac Rady państwa a zarazem podaje, jakiego kierunku w polityce rząd się będzie trzymał. Mowa tronowa jest bardzo ważna. Układają ją przez dłuższy czas wszyscy ministrowie wspólnie, następnie obraduje nad nią prezydent gabinetu z samym cesarzem. Każdy niemal wyraz jest rozważany w tej mowie, bo rząd chce to tylko powiedzieć, czego się pragnie w przyszłości trzymać, gdyż co innego mówić a co innego czynić, lub też nie dotrzymywać obietnic, nie zgodziłoby się z powagą rządu.

Najwięcej nas interesuje w obecnej mowie tronowej ustęp, odnoszący się do budowy dróg wodnych. Zdawało się, że kanał galicyjski już jest zaprzepaszczony, tymczasem, ku wielkiej radości kraju, mowa tronowa zawierała ustęp, z którego należy wnioskować, iż rząd ma zamiar jak najprędzej przystąpić do budowy kanału spławnego, narazie od Oświęcimia do Krakowa. Nie będzie to, narazie, urzeczywistnienie całej ustawy z roku 1901, jednak mimo to należy uważać, w razie doprowadzenia do skutku

budowy kanału w Galicyi, za wielkie zwycięztwo naszej polityki. Tysiące robotników zamiast jechać za granicę, może w kraju przy budowie kanału znaleźć zajęcie, a nie należy wątpić, że wybudowanie takiego kanału w tej części kraju przyczyni się wielce do rozwoju naszego przemysłu, który znów może zatrudnić setki i tysiące rąk robotniczych. Należy się spodziewać, że dzielne obecnie Koło polskie w Wiedniu będzie całą siłą dążyło do urzeczywistnienia tego doniosłego postulatu naszego kraju.

Pożar Konstantynopola. W ubiegłą niedzielę wieczór wybuchł w stolicy Turcyi, w Konstantynopolu, groźny pożar. Setki domów stanęły w płomieniach, spaliły się całe dzielnice miasta. Ogień wybuchł równocześnie w kilku punktach, przypuszczają więc, że był podłożony. Nazajutrz zaraz stwierdzono, że ofiarą pożaru padło dwa tysiące domów. Przeważnie były to domy drewniane, oraz składy napełnione towarem. Szkody idą w miliony koron. — W pierwszych dwóch dniach nie dało się strażom pożarnym i wojsku umiejscowić pożaru i fale ognia zalewały coraz to nowe budynki. Zresztą niekarne wojsko tureckie nie umiało odpowiednio ratować płonących domów i ochraniać dalszych od płomieni.

Rada państwa wybrała prezydentem Niemca, pos. Silvestra, jednym z wiceprezydentów będzie Polak poseł German. Następnie rozpoczęło się omawianie ważnej sprawy bankowej potem dyskusya nad interpelacyami o krwawe wypadki w Drohobyczu. Koło polskie domaga się pilnego zbadania sprawy.

Młoda rzeczpospolita portugalska ciągle się chwieje. Czyni wrażenie domu zbudowanego na piasku, który co chwila się usuwa, tworząc jamy i grozi domowi zawaleniem. Ale republikanie nie próżnują; pilnują oni całości swej rzeczypospolitej bardzo starannie; gdzie tylko lichy fundament woda podmyje, naprawiają prędko i zapobiegają powrotowi do czasów monarchicznych. W ubiegłym miesiącu monarchiści podnieśli głowę, zdawało się, że przyjdzie do wojny domowej. Lecz ostrożni republikanie zaraz skonsygnowali znaczne wojsko, którego monarchiści się ulękli. Obecnie odkryto ciekawą rzecz. Mianowicie pochwycono listy dawnej portugalskiej rodziny królewskiej, w których ona prosi rząd angielski, aby ten dopomógł znieść rzeczpolitą portugalską a zaprowadzić z powrotem monarchię. Rodzina królewska spodziewała się też rewolucyi, i już marzyła, że znów wstąpi na tron i będzie rządziła. Jest rzeczą zrozumiałą, jak wielkie wrażenie musiało w Potugalii zrobić to odkrycie.— To też republikanie tem pilniej strzegą rodziny królewskiej i śledzą wszystkie kroki monarchistów, bojąc się o utratę swobód, jakie im zapewnia rzeczpospolita.

Wojna domowa w Persyi. Złożony przed paru laty z tronu szach perski Mahomet Ali powraca do swej stolicy Teheranu. Wiadomo powszechnie, że do powrotu jego przygotowała mu drogę Rosya, która w ten sposób chce Persyę, względnie część jej opanować w celach głównie handlowych. Obecny rząd perski, konstytucyjny, oburzony jest tym krokiem Rosyi, która przy pomocy części wojska, co się za Mahometem Ali oświadczyło, pieniędzy i intrygi, chce narzucić Persyi monarchę, który poprzednio zniósł konstytucyę. Zamierza też rząd ściągnąć do stolicy możliwie największą ilość wojska, gdyż na razie Teheran jest niemal ogołocony z żołnierzy, którzy znajdują się na prowincyi, aby tam uśmierzać zdawna panujące niepokoje. Na razie rząd ma do rozporządzenia tylko Kozaków perskich, na których jednak polegać nie może. — Rada ministrów uchwaliła ogłosić w całym kraju stan wojenny.

KRONIKA.

Nowy kościół parafialny. W Krzywaczce, w powiecie myślenickim, budowa nowego kościoła parafialnego postępuje szybko naprzód. Dn. 27 czerwca obchodzili parafianie uroczyście poświęcenie kamienia węgielnego nowej świątyni, którego dokonał ks. Paweł Frebek, dziekan lanckoroński.

Festyn w Niebylcu. Dnia 2 i 16 lipca b. r. odbył się w Niebylcu festyn, urządzony przez ochotniczą straż pożarną pod kierunkiem naczelnika Teofila Tryczyńskiego. Publiczność miejscowa i okoliczna zabawiła się wspaniale a czysty dochód 50 kor. przeznaczono na odrestaurowanie statuy św. Floryana na rynku w Niebylcu.

(J. F.) **Piorun.** W Jastrzębce starej, dnia 15 b. m. w sobotę wyszła chmura o 4 godz. popołudniu i piorun uderzył w wierzbę Wojciecha Małka i, zrobiwszy rysę z góry na dół, wpadł do stajni, która stała naprost tej wierzby. W stajni zabił jedną krowę a drugiej krowy i pary koni nie uszkodził wcale.

Ofiary Dniestru. W Martynowie, koło miasta Rohatyna, we wschodniej Galicyi, wybrały się cztery dziewczęta do kąpieli w Dniestrze. Wtem fala porwała jedną z nich, 16-letnią Maryę Wereszczyńską i poniosła na głębię. Na ratunek Maryi pobiegła 14-letnia Magdalena Kreszczyszynówna. Niestety, obie, mimo rozpaczliwej walki z falami, prąd unosił coraz dalej. Chcąc ratować młodszą siostrę, rzuciła się za niemi 16 letnia Katarzyna Kraszczyszynówna, jednak i ją prąd zagarnął — niebawem wszystkie trzy zniknęły pod wodą. Z czterech kąpiących się wyratowała się tylko jedna, która sama zdołała dotrzeć do brzegu. Na brzegu stało około stu obywateli martynowskich, żaden jednak mimo rozpaczliwych krzyków tonących, nie pospieszył im z pomocą.



Dopiero po dłuższym czasie, usłyszawszy zgiełk, zjawił się na miejscu nieszczęścia p. Lachowski, emerytowany podoficer żandarmeryi i wraz z niejakim Andrzejem Cieślą rzucił się na ratunek nieszczęsnym ofiarom. Dzięki pomocy psa p. Lachowskiego udało się wyszukać zwłoki wszystkich trzech ofiar. Wyciągnięto je z wody na brzeg i za pomocą sztucznego oddychania próbowano przywrócić je do życia. Niestety, było już zapóźno, żadna z nieszczęsnych ofiar, mimo usilnych zabiegów, nie odzyskała przytomności. — Obrazek nasz przedstawia ten nieszczęśliwy wypadek.

Śmierć z wystrzału moździerzowego. — W Baligrodzie, w powiecie liskim, dnia 9 lipca podczas wesela córki policyanta Karola, 14-letni syn jego Jan, chcąc swej siostrze podczas uczty weselnej wystrzelić z moździerza na wiwat, tak się jakoś niezręcznie z tem obszedł, że wystrzał spowodował u niego pęknięcie czaszki, z czego w dwa dni potem umarł.

(J. M.) **Nieszczęśliwy wypadek na kolei.** W poniedziałek, dnia 17 lipca b. r., w Bielsku, na Śląsku, przejechał pociąg ciężarowy robotnika kolejowego (szybera) Guldanka. Koła pociągu zdruzgotały mu nogę, rękę i pokaleczyły głowę. Nieszczęśliwego odwieziono do szpitala, gdzie we wtorek zmarł.

Zamordowanie „króla chłopskiego". Niedawno toczył się na Węgrzech w mieście Bekesz-Gyula proces przeciw zabójcom posła Achima, przywódcy chłopów, zwanego też »królem chłopskim«. Jako obwinieni siedzieli na ławie oskarżonych: Gabryel i Andrzej Zilinsky. Gabryel oskarżony był o morderstwo, Andrzej o współudział. Gabryel zaprzeczał, jakoby z jakimkolwiek zamiarem nieprzyjaznym przyszedł do Achima. Twierdził, że chciał go tylko skłonić, aby odwołał oszczerstwo przeciw ich ojcu; że kiedy Gabryel wszedł z bratem, Achim rzucił się na Andrzeja, zaczął go bić laską i dusić, a on zupełnie bezwiednie strzelił i to w nogi. Żona zabitego stwierdziła pod przysięgą, że mąż wcale laski nie miał, zeznała też, że Achim na łożu śmiertelnem poprzysiągł, że zastrzelono go bez żadnej z jego strony zaczepki.



Podczas rozprawy rozeszła się pogłoska, że 5000 chłopów z czarnymi sztandarami dąży do Bekesz, wskutek czego ściągnięto żandarmeryę i wojsko. Inni świadkowie zeznawali niekorzystnie dla Achima. Poseł ten miał być człowiekiem bardzo gwałtownym. Pewnego razu pobił nawet pastora ewangielickiego. Sędziowie przysięgli uznali obu braci Zilinskych winnymi zabójstwa, ale z tem, że działali w obronie własnej. Zabójca Andrzej Zilinsky został przeto od winy i kary uwolniony. Obrazek nasz przedstawia pastwiącego się nad powalonym Achimem Gabryela Zilinskyego.

Samobójstwo w obłędzie religijnym. W pewnej wsi Austryi dolnej żona tamtejszego gospodarza, Agnieszka Konc, matka czworga dzieci, znana była w okolicy z niezwykłej pobożności. Raz, powróciwszy z kościoła, wyprawiła dzieci starsze do ojca na łąkę, najmłodsze zaś ułożyła w kołyskę. — Następnie rozniecila ogień w piecu piekarskim, ustawiła mały ołtarzyk przed piecem i gorąco zaczęła modlić się. To co zrobiła po żarliwej modlitwie przechodzi wszelkie przypuszczenia. Rozebrawszy się do naga, mimo żaru bijącego z pieca, miała na tyle siły, aby wciągnąć ciało tak głęboko do pieca, że tylko nogi zwisały.

Można zrozumieć przerażenie ojca, który w godzinę po przybyciu dzieci wrócił z niemi do domu. Na jego przeraźliwy krzyk przybiegli sąsiedzi, jednak nikt nie ośmielił się wyciągnąć zwęglonych zwłok z pieca. Dokonała tego dopiero komisya sądowo-lekarska, która też orzekła, że zmarła popełniła samobójstwo wskutek obłąkania na tle religijnem.

Poświęcenie cudownego obrazu. W niedzielę, 23 lipca, odbyło się w kościele w Szamotułach, w Poznańskiem, poświęcenie odnowionego obrazu cudownego Matki Boskiej Szamotulskiej. — Obraz ten jest ważną pamiątką historyczną, kiedy bowiem Jan Sobieski miał oswobodzić Wiedeń, oblężony przez Turków, obraz był w ołtarzu polowym, przy którym przed rozpoczęciem bitwy odbyło się nabożeństwo błagalne o zwycięztwo. Ten skarb drogocenny byłby uległ wkrótce zupełnemu zniszczeniu, dzięki wszakże staraniom ks. proboszcza Grzybowskiego, obraz pięknie odnowiono.

W Poznaniu nie wolno mówić po polsku! Pewnego dnia nad wieczorem, w powrocie z przechadzki za miasto, kilka rodzin oczekiwało na tramwaj do miasta. W tym czasie oddalił się od towarzystwa mały chłopczyk, syn jednej z pań, która, przywołując go do siebie, w te odezwała się słowa: »Kazieńku, chodź tutaj, bo cię tramwaj przejedzie«. Na to przystępuje, pełniący tam służbę, policyant i pyta po niemiecku:

— Co pani sobie życzy?

— Nic, nic — brzmiała odpowiedź.

Na to policyant:

— Tutaj nie wolno mówić po polsku!

Prusakom się chyba zdaje, że jak będą utrudniać rozmowę po polsku, to Polacy przestaną już istnieć, a polskie miasta i wsie staną się niemieckiemi!

Samobójstwo przy kuflu. W Chmielince, w Poznańskiem, siedziało kilku ludzi w gospodzie, popijając piwo. Rozmowa toczyła się o różnych rzeczach, aż wkońcu zaczęli towarzysze różne brzydkie czyny zarzucać pijącemu z nimi listonoszowi Heinkemu. Ten, wysłuchawszy zarzutów, wyjął niepostrzeżenie nóż i zaczął nim wiercić w piersiach w okolicy serca. Obecni, nie widząc noża, przypuszczali, że żartuje. Tymczasem Heinke jęknął i padł trupem na miejscu.

Spadek w sienniku. W Łowiczu, w Królestwie Polskiem, zmarła niedawno kobieta, po której śmierci dzieci sprzedały ruchomości pewnemu furmanowi. Nazajutrz jeden z synów zmarłej przypomniał sobie, że matka przed śmiercią, nie mogąc już mówić, na migi pokazywała ciągle na siennik. Wobec tego spadkobiercy udali się do furmana i prosili o pokazanie na chwilę siennika wczoraj sprzedanego. Furman niczego się nie domyślał, a spadkobiercy znaleźli istotnie w sienniku 600 rubli gotówką i za 1000 rubli kosztowności.

Obłąkany podpalacz. We wsi Rzuchów, w Królestwie Polskiem, umysłowo chory, Ludwik Zieliński, podpalił budynki sąsiada, któremu z budynkami spalił się wszystek inwentarz, żywy i martwy. Zaaresztowany Zieliński przyznał się do winy, mówiąc, że mu było zimno, więc chciał się zagrzać; przyznał się także, że przed trzema laty spalił plebanię w Grocholicach, a przed rokiem budynki jednego gospodarza w Bodzechowie.

Paszport do nieba. W starych aktach cerkiewnych w Kijowie znaleziono ciekawy dokument pochodzący z roku 1341. Jestto paszport do nieba, wystawiony przez metropolitę kijowskiego Makaryusza, zmarłemu podówczas księciu Fedorowi Władymirskiemu. Jeden egzemplarz tego pasportu włożono do trumny, drugi zachowano w aktach. Pasport ten opiewa: »Makaruszka, z bożej łaski arcybiskup i metropolita kijowski, do naszego Pana i przyjaciela św. Piotra, klucznika bram niebios. Zaświadczamy, że dnia dzisiejszego zmarł wierny sługa Boży, książę Fedor Władymirski, i upraszamy cię, byś natychmiast, bez stawienia mu jakichkolwiek trudności, wpuścił go do królestwa niebieskiego. Odpuści-

liśmy mu wszystkie grzechy i udzieliliśmy mu naszego błogosławieństwa, tak że nic nie stoi na przeszkodzie, by wszedł do raju. Dla uwierzytelnienia list ten, wystawiony w Kijowie w dniu 13 lipca 1341 roku, składamy do trumny zmarłemu. Najuniżeńszy Makaryusz, arcybiskup i metropolita kijowski«. — W ten sposób pisał w czternastym wieku prawosławny metropolita list do św. Piotra, nazywając go »swoim przyjacielem!«

Ile Rosya wypija wódki? Według urzędowych danych statystycznych, od 1 stycznia b. r. do maja, w ciągu czterech pierwszych miesięcy, wypito w Rosyi tyle wódki, że gdyby ją zebrać w jednem miejscu i wlać do specyalnie wykopanego kanału, to mielibyśmy kanał szerokości 12 metrów, głębokości sześciu metrów i długości 420 klm. Gdyby zlać razem to wszystko, co wypija Rosya w ciągu lat pięciu, to byłby kanał takiej samej szerokości i głębokości, długość jego byłaby zaś taką, że kanałem tym możnaby prawie połączyć morze Czarne z Bałtyckiem. Po kanale tej szerokości i głębokości mogłyby pływać takie parostatki, jakie kursują po Wołdze i nawet mijać się wzajemnie. Gdyby dla wypijanej rocznie w Rosyi wódki udało się zrobić butelkę, to średnica jej wypełniłaby 100 metrów obwód dna 300 metr., a wysokość butelki bez szyjki 420 metr.

Zbrodniarz żądający wyroku śmierci. — Zwykle skazani w wypadku, gdy sąd skaże ich na śmierć, wnoszą prośbę do monarchy o ułaskawienie. W Prusiech zdarzyło się niedawno wprost przeciwnie. Feldwebel Ernest Müller zamordował swą narzeczoną. Sąd wojskowy pierwszej instancyi skazał Müllera na 15 lat ciężkiego więzienia, skazany jednak zaapelował od tego wyroku, twierdząc, że zasługuje na karę śmierci, jako morderca. Instancya wyższa wobec tego skazała go istotnie na śmierć. Namawiany do podania się do łaski cesarskiej Müller oświadczył, że nie uczyni tego, gdyż pragnie odpokutować w zupełności za swoją winę. Mimo to ojciec skazańca i proboszcz wsi jego rodzinnej podali prośbę do cesarza o ułaskawienie Müllera. — Wilhelm II jednak podanie to odrzucił i zatwierdził wyrok śmierci, który będzie niebawem wykonany.

Miasto pływające. W Niemczech buduje się obecnie olbrzym morski, który będzie nosił nazwę »Europa«. Będzie to największy okręt pasażerski i już dzisiaj nazywają go królem morza. »Europa« przebywać będzie drogę do Ameryki w ciągu pięciu dni, a pod względem rozmiarów, bezpieczeństwa, wygód i wytwornych urządzeń pobije na głowę wszystkie istniejąca parowce. Długość tego okrętu wynosić będzie 268 metrów, szerokość 30 m., okręt pomieści 4250 podróżnych a wraz z załogą 5000 osób. Jestto zatem ludność małego miasteczka. »Europa« nadto dostarczy swoim pasażerom wszelkich wygód, będą mogli używać spacerów po pięknie urządzonych ogródkach i ulicach, będą mieli palarnie, czytelnie, teatr, sale koncertowe, sale do zabaw wspólnych. To »miasto pływające« na falach oceanu, pomimo ciężaru swego ładunku, wynurzać się będzie tak wysoko, że człowiek umieszczony na wybrzeżu lub w łodzi, zaledwie rozróżni rysy podróżnych pierwszego pokładu, gdyż pokład ten, ponad dziewięciu innymi, odpowiadać będzie szóstemu piętru naszych kamienic.

Apetyt olbrzymki. W Berlinie pokazuje się za pieniądze olbrzymia murzynka. Ogromna ta czarna kobieta mierzy 2 metry 32 cm. wysokości, waży 350 funtów. Stosownie też do wzrostu i wagi posiada niesłychany apetyt. Na obiad zjada 2 funty mięsa, 2 funty ryb, 8 funtów jarzyny i dwie kury; na kolacyę kilkanaście jaj na twardo, kilka bułek i wypija parę kufli piwa.

Trzynastoletni uczeń mordercą. Z Hamburga donoszą gazety niemieckie: 13 letni uczeń gimnazyalny, Hoffmann, na jednem z przedmieść Hamburga zabił 15-letnią służącą. Hoffmann znany zawadyaka, lubił bić dzieci, a gdy razu pewnego chciał uderzyć dziecko, powierzone opiece owej służącej, ta mu jednak na to nie pozwoliła, Hoffmann wyjął nóż i wbił go służącej w gardło. Potwornego chłopaka natychmiast aresztowano.

Śmierć lotniczki. Co parę dni prawie donoszą gazety o nowym wypadku śmierci lotnika. Kilkudziesięciu śmiałych żeglarzy powietrznych już przepłaciło życiem swą odwagę i chęć udoskonalenia maszyn do latania. Za przykładem mężczyzn wzięły się do latania i kobiety i są już takie, które przeszedłszy odpowiednią szkołę, wznoszą się w powietrze, umiejąc kierować maszyną. W tych dniach pod Paryżem jedna z takich lotniczek spadła z maszyną i zabiła się na miejscu. Jestto pierwszy wypadek śmierci kobiety żeglarki powietrznej.

Wśród kwiatów na śmierć. Wesoło na wojnę! Dzielne i żywotne narody mimo okropności wojny nie idą na nią jak barany na rzeź. U nas, w Polsce, wiara szła na wojnę z wesołą piosnką na ustach, z fantazyą i odwagą. Podobnie też Francuzi zachowywali się podczas wyjazdu do Marokka w Afryce, gdzie toczyły się długo krwawe walki.



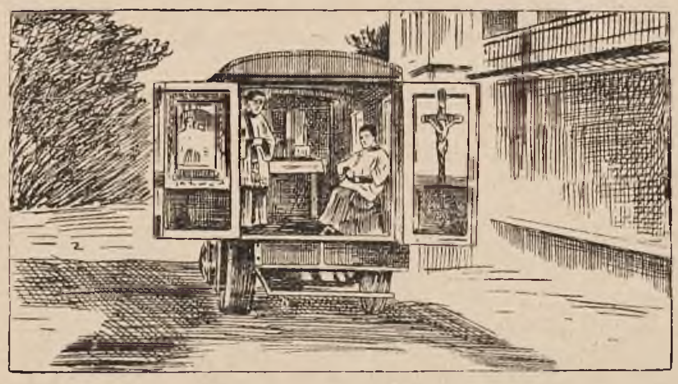
Obrazek nasz przedstawia pociąg uwieńczony kwiatami, którym jedzie wojsko francuskie. Za stojącym na przodzie dowódcą widzimy pewnego młodego porucznika, który w dniu wymarszu miał wziąć ślub, a mimo że koledzy ofiarowali mu się licznie z zastępstwem, nie przyjął ich ofiary, i zadowolił się kilkugodzinnym urlopem, aby z ukochaną pójść do ołtarza a potem wskoczyć do wagonu i odjechać na plac boju. Dzielny żołnierz!

60.000 litrów spirytusu w ogniu. W Hawrze, we Francyi, wybuchnął wielki pożar w składzie okowity. Z rozszalałą szybkością płomienie zajęły domy sąsiednie, niszcząc między innymi także budynek urzędu telegraficznego i telefonicznego. — Ponieważ w składzie znajdowało się 60.000 litrów spirytusu, więc żandarmerya i wojsko w dalekim promieniu otoczyło miejsce katastrofy, by zapobiedz dalszym nieszczęściom podczas silnych wybuchów morza spirytusu, które się szeroko rozlało po ulicach.

Zamordowanie kapłana. Przed tygodniem zamordowany został w Paryżu ks. Garnier, proboszcz jednej z Parafii pod Paryżem. Ks. Garnier utrzymywał dwie szkółki, męską i żeńską, i był jednym z najczynniejszych działaczy społecznych wśród duchowieństwa francuskiego. Zamachu zbrodniczego dokonał nań nauczyciel jednej z tych szkółek, usunięty przez ks. Garniera z zajmowanej posady za niewłaściwe prowadzenie się. Zbrodniarz przyszedł do mieszkania kapłana i natarczywie dopominał się o dawną posadę, a gdy go ks. Garnier chciał wyprzeć z pokoju, dał kilka strzałów rewolwerowych. Ks. Garnier umarł w szpitalu ze słowem: »Przebaczam«.

Upały i burze. Ustawicznie gazety przynoszą wiadomości z różnych stron świata o straszliwych upałach i burzach. Nad Madrytem, stolicą Hiszpanii, zerwała się niedawno temu, po upalnym dniu, niesłychana burza gradowa, a potem oberwanie chmury, połączone z trąbą powietrzną. W całem mieście niema ani jednej szyby całej. Masa domów zupełnie zrujnowanych, wicher zerwał mnóstwo dachów i kominów z kamienic i gmachów publicznych.

Kaplica na kołach. Na dobry pomysł wpadli misyonarze angielscy. Duchowni ci odbywają częste podróże w celach duszpasterskich, urządzanie naprędce ołtarzy do odprawiania nabożeństw było połączone z trudnościami, aby więc ich uniknąć, zbudowali niedawno bardzo wygodną kaplicę na kołach. Jest to kryty ogromny wóz, wewnątrz którego mieści się kaplica.



Obrazek nasz przedstawia urządzenie wewnętrzne tej kapliczki, która z powodu osadzenia na wysokich kołach umożliwia wszystkim zebranym widzieć celebrującego kapłana.

Z szewskiego chłopca — uczony. W Paryżu zmarł niedawno uczony i profesor August Lognon. Niezmiernie ciekawe koleje jego żywota opowiadają paryskie dzienniki: Profesor Lognon był synem szewca i terminował u ojca. Odwiedzając swego dostawcę trzewików profesor N. zauważył, że trzewiki z rąk młodego Augusta wychodzące odznaczają się wielką starannością wykonania. Widząc dobre chęci chłopaka, pozwolił mu przychodzić do siebie i oddał mu wreszcie do czytania swe liczne książki. Lognon towarzyszył swemu dobrodziejowi w podróżach naukowych i napisał o nich dzieło, które mu zdobyło sławę. Został potem profesorem jednej z najwyższych szkół w Paryżu, gdzie pracował do zgonu.

Zgodne małżeństwo — we troje. We dwoje zwykle ludzie się zgodzić nie mogą, a zgodzili się we troje: mąż jednak dwóch żon stanął przed sądem w Manczesterze, w Anglii, pod zarzutem dwużeństwa. Jak się okazało podczas rozprawy sądowej, oskarżony ożenił się powtórnie za wiedzą pierwszej żony, następnie zaś powrócił do pierwszej małżonki, a druga zgodziła się do męża swojego za służącą. Sąd angielski obszedł się z mężem dwóch zgodnych żon niezbyt łagodnie, bo skazał go tylko na 7 dni aresztu.

Nafta płonąca na morzu. Niedawno temu, gdy pewien parowiec niemiecki stanął w greckim porcie Pireus, podpłynęła do niego łódź z czterema marynarzami greckimi, przywożąc zapasy żywności. W tejże chwili pękła wyładowana z parowca beczka nafty, a zawartość jej rozlała się po morzu. Jeden z marynarzy greckich zapalał właśnie papierosa i rzucił lekkomyślnie zapałkę niezgaszoną do wody. — W jednej chwili nafta zajęła się płomieniem i morze na wielkiej przestrzeni stanęło w ogniu, ogarniając łódkę. Trzech marynarzy, widzac niebezpieczeństwo, wyskoczyło z łodzi, i dawszy nurka, odpłynęło wodą dość daleko od łodzi, ocaliwszy się w ten sposób. Czwarty jednak, któremu widocznie zabrakło odwagi, spłonął żywcem w łodzi.

Wojna z muchami, rozpoczęta w Ameryce, doprowadziła podobno do bardzo pomyślnych rezultatów. Pomimo, że trwa ona właściwie od trzech miesięcy, lekarze stwierdzili już znaczne zmniejszenie się chorób zakaźnych, zwłaszcza u dzieci. — Tymi dniami odbywało się w Chicago rozdawanie nagród tym, którzy najwięcej much zabili. Otóż pierwszą nagrodę otrzymał 12-letni chłopaczek, Bousquet, który przedstawił 1 milion 219 tysięcy much zabitych, a wszystkie te muchy wzięte razem, stanowiły 10 dużych beczek.

86 dni snu! W Stanach Zjednoczonych pewna kobieta przespała 86 dni. Zasnęła w pierwszych dniach marca i wszelkie środki obudzenia jej pozostawały bezskuteczne. Ocknęła się sama po 26 dniach, lecz usnęła znowu. Teraz wreszcie zdołano ją przebudzić. Stan jej zdrowia jest zupełnie dobry, lecz utraciła mowę i porozumiewa się na migi. Lekarze mają wszelako nadzieję, że przywrócą jej mowę.

Praca nocna w Nowym Jorku. Życie nocne w Nowym Jorku przybiera coraz większe rozmiary i ciągnie się coraz dłużej, tem samem przedłużają się i godziny pracy. Wszelkie biura, lokale handlowe i ulice czyszczone są nocą. Nocą przewożone są listy i przesyłki z poczty do dworców kolejowych. Oprócz urzędników pocztowych, telegraficznych i telefonicznych, oraz policyi, coraz więcej ludzi sprawuje nocą swe zawody. Naturalnie restauracye otwarte bywają do białego dnia, poza tem szpitale stoją całą noc otworem. Przez całą noc krążą elektryczne tramwaje, koleje miejskie, podziemne, oraz łodzie. Pracują nawet sądy, w których aresztowani otrzymują na poczekaniu wyroki. Przez całą noc po kościołach odprawiane są nabożeństwa. Obliczono, że obecnie 125.000 ludzi zajętych jest w Nowym Jorku przez całą noc.

Poddani króla angielskiego. Niedawno pisaliśmy o wspaniałym obchodzie koronacyjnym króla Jerzego angielskiego i królowej Maryi i o niezwykłym przepychu, który towarzyszył tej uroczystości. Zgromadziły się w Londynie setki i tysiące przedstawicieli ludów, podległych berłu angielskiemu. — Byli wysocy dostojnicy z krajów cywilizowanych, byli też i przedstawiciele ludów z odległych części świata w swoich narodowych strojach i zbrojach odwiecznych, ze słoniami i wielbłądami. A narodowe stroje u niektórych były bardzo szczególne, bo stanowiły je tylko skóry dzikich zwierząt.



Obrazek nasz przedstawia chwilę, gdy podczas przejazdu powozem pary królewskiej przed uroczystością witają ją z zapałem wojownicy z azyatyckiego plemienia, używającego jeszcze pancerzy ze skór zwierzęcych, tarcz i przedpotopowych siekierek kamiennych. A to wszystko poddani króla angielskiego.

Pożarci przez krokodyle. Przybyła do Londynu z Indyi Angielka, Live Sayl, opowiada o strasznym wypadku, jaki ją tam spotkał. Niedługo po ślubie swoim wyjechała z mężem, w towarzystwie kilku przyjaciół, łódką po rzece Ganges. Nagle łódka przewróciła się, a woda wzburzyła się od masy krokodyli z rozwartymi paszczami, wynurzającemi się nad wodę. Angielka z największym wysiłkiem zdołała się uratować z niebezpieczeństwa. Męża jej i cztery inne osoby pożarły krokodyle.

Grzyby jeśli są przyrządzone odpowiednio, służą nietylko za dobrą przyprawę do różnego innego jadła, aby je chętnie spożywano, ale i same są jadłem bardzo pożywnem. Ze wszystkich roślin są one najpożywniejsze. Tylko trzeba je dobrze ugotować i przyprawić. Otóż gdy tak rozmiękną, że nietylko dają się łatwo rozgryzać w zębach, ale rozgniatają się na miazgę dziąsłami i językiem, wówczas trawią się w żołądku i kiszkach dobrze i idą ciału ludzkiemu na pożytek. Wielką jednak ostrożność należy zachować wobec grzybów i brać do użytku jedynie te, które znane są jako grzyby jadalne. Te, których nie zna się dobrze, stanowczo trzeba odrzucać, gdyż są często trujące.

Dlaczego dzieciom nie należy dawać ani wódki, ani piwa? Wódka i piwo jest dla dzieci gorszą trucizną, niż dla starszych, bo ciało i wnętrzności są u dziecka słabsze. Trunki te powstrzymują rozwój ciała i duszy dziecka, przyczyniają się do ogłupiania ich; czynią dzieci upartemi i nieposłusznemi dla rodziców, pobudzają też dzieci do rozmaitych ukrytych występków, które podkopują zdrowie, niszczą ciało i przerabiają je na łajdaków. Dzieci pijące piwo lub wódkę mają słabą pamięć i źle się uczą, a choćby używały tylko jednego piwa i chociażby po trosze, powoli tracą zdolności do nauki, tracą pamięć, a także stracą zupełnie i głos do śpiewu. Kto pił dzieckiem, ten jako dorosły łatwo staje się pijakiem.

Rozszerzajcie wszędzie „Rolę“
Ile macie siły,
By jej słowa kraj nasz cały
Corychlej zwiedziły!

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

Józef Kołder w K.: Za zmianę adresu należy się 40 halerzy; prosimy przysłać. — Jan Kwis w R.: Wysłane. — Jakób Folta w Ch.: Wysyłamy co czwartek najregularniej a więc w piątek rano jest numer na poczcie w Przeworsku. Proszę za każdym razem reklamować do nas, gdy numer do soboty nie dojdzie. Można zmienić adres, ale to kosztuje nas 40 halerzy. — Piotr Janczyk w S.: Zmiana adresu 40 hal. — Franciszek Gerlach w R.: Reklamacye spóźnione, należy reklamować każdy numer najdalej w poniedziałek. Żądanych numerów już nie mamy. — Walenty Kędzior w Ł.: Dziękujemy za pozdrowienia; wysłane. — Wojciech Razmus w S.: Ładnie jest i dobrze, wystarczy; na żniwa wszystkim Kochanym Czytelnikom »Szczęść Boże!«. — Franciszek Gruszka: Za zmianę adresu należy się 40 hal. — Robert Rydz w T.: Za wiersz serdecznie dziękuję. Ponieważ poszedł na wstęp, więc dedykacyę musieliśmy opuścić. O obietnicy pamiętam, ale nie dało się jeszcze umieścić. Powiastka również dobra. Łączymy serdeczne pozdrowienia. — Franciszek Teper w M. K.: P. Ł. zawiadomiliśmy, czy zechce — nie wiemy. — Teofil Tryczyński w N.: Prace Pańskie są dobre, tylko jak dla »Roli« trochę za obszerne. Prosimy o pisanie na przyszłość po jednej stronie papieru. — Stanisław Misiewicz w Ch.: Podobne opowiadanie już było w »Roli«, prosimy więc o inne. — Ks. Wojciech Paszek w L.: Z największą przyjemnością. Łączymy pozdrowienia. — Moś Jan w Cz.: Za miły list serdeczne dzięki. Cieszy nas uznanie naszej pracy. Maciek specyalnie za pochwały dziękuje. — „L. K.“: Wierszyki udatne, ale treść ich nieprawdziwa, bo przecież tak źle nie było i... nie jest. — Józef Kapuściński w L.: Właśnie dlatego w Poznańskiem Polakom powodzi się lepiej niż u nas, gdyż tam dużo czytają, a oświata przyczynia się znacznie do dobrobytu. Żałować tych należy, którzy na oświatę skąpią grosza. W sprawie owego chłopca nic narazie nie wiemy. Wiersze powoli pójdą. Kalendarz już w druku, a będzie bardzo ładny. — Wincenty Cechowy w P.: Przyznajemy zupełną słuszność, ale my nie możemy wchodzić w to, czy odbiorcy zasługują na to dobrodziejstwo, lecz musimy trzymać się polecenia. Kto płaci ten ma prawo podawać adresy. O powiększeniu i my myślimy, a cieszy nas, że Czytelnicy są również tego zdania. Oczywiście że i koszta wtedy wzmogłyby się znacznie. Wierszyki będą drukowane. Łączymy serdeczne pozdrowienia.

Za zmianę adresu należy się 40 halerzy.

Potwierdzenia prenumeraty:

Prenumeratę półroczną po dwie korony przysłali PP.:

Świersz Józef z L., Schneider Jan z M., Łojek Michał z J., Firla Franciszek z G. S., Przemyk Jan z B., Kolbuch Jan z O., Rzeszódko Jan z Ł., Drożdżek Wojciech z M, Morawiec Paweł z S. M., Wilkosz Kazimierz z K., Klamka Mikołaj z L. m., Kędzior Walenty z Ł., Dynia Franciszek z R. m., Wykręt Wojciech z Cz., Łukasiewicz Stanisław z K., Nowak Agnieszka z P., Kociołek Franciszek z S., Smołucha Franciszek z R., Grygierczyk J. z Cz., Kotliński Wojciech z M., Rutyna Antoni z J., Kośka Franciszek z B., Antoni Szafarczyk z Ł., Zawiła Jan z B.

Oprócz tego nadesłali PP.: hr. Zamoyska z Z. (10 K.), Zabijak Michał z U. S. (1 K.), Kruzel Tomasz z P. (1 K.), Szostak Wojciech z K. (1 K.), Danek Jan z W. (3 K.), Marszał Marcin z P. (1 K.), Rybicki Kalikst z Ch. (1 K.),

Każdą reklamacyę wraz z reklamowanym numerem posyłamy do dyrekcyi poczt we Lwowie.

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 25 lipca:

Buhaje	Kor.	100	do	400	za sztukę
Woły	„	200	„	400	„
Krowy	„	170	„	270	„
Jałówki	„	84	„	226	„
Cielęta	„	28	„	70	„
Owce i kozy	„	—	„	—	„
Świnie (bita waga)	„	140	„	160	za 50 kg.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 25 lipca:

Pszenica	Kor.	11·40	do	11·90	za 50 kg.
Żyto	„	8.20	„	9·—	„
Jęczmień	„	8.25	„	6·60	„
Owies	„	9·10	„	9·50	„
Otręby pszenne	„	6·40	„	6·50	„
Otręby żytnie	„	6·—	„	6·15	„

Zagadki do nagrody.

1. SZARADA.

Pierwsza z trzecią dają poruszenie wodne
Z drugiej i pierwszej siedzenie wygodne
Wspak trzecia z pierwszą powiązana,
Greckiego abecadła samogłoska znana
A wszystkie z całosci — moje kochanie,
Ogrodnik dostarczyć Ci jest w stanie.

2. SZARADA.

Pierwszy, drugi niechaj żyje
A szczególniej drugi świeży,
Nie pogardzi nikt nim w lecie,
To też niech kto sobie wierzy
W to co świat nań, pierwsze, trzecie,
Ty mu słuszność przyznać raczysz,
Z przekonaniem twojem całem
Pójdź — pcekosztuj — a zobaczysz,
Co ja zdawna studyowałem.
Wszystka razem nic innego
Jak ojczyzna pierwszego drugiego.

3. SZARADA.

Drugi obroni, a i rani także.
Pierwsza litera, a trzecia? a jakże.
Wszystko panowie i panie
Dobre bywa na śniadanie.

4. SZARADA.

Drugie, czwarte litery, piękna czwarta, trzecia!
Zdobi nietylko damy, ale i waszecia.
Trzecie, czwarte bez skrzydeł w powietrzu [latają
Drugie, pierwsze muzycy i słuchacze znają.
Trzecia, pierwsza upiększy, choć co mało [warte,
Nie wszyscy u nas ludzie jedzą pierwsze, [czwarte.
Wszystkie wielce wygodne, dziś poszukiwane,
Wspak trzeciej i wprost czwartej nie bywały [znane.

5. SZARADA.

Pierwsze tkwi w babie, a znaczy zwątpienie,
Od drugich niech cię chroni los i przeznaczenie.
Wszystek na niebie, na ziemi, na stole,
Jedni wolą go z czosnkiem, ja bez czosnku [wolę.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 6 sierpnia 1911 roku. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica Św. Tomasza l. 32.**

Znaczenie zagadek z nr. 29 *Roli*: 1) Łamigłówka: **Maciek Bzdura,** 2. Szarada: **Turnieje,** 3. Zagadka: **Samochód,** 4. Ustawianka: **Tarnopol,** 5. Szarada: **Karawka,** 6. Zagadka: **Koń,** 7. Zagadka: **Kasprowicz.**

* * *

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązania:

1.

W łamigłówce — hejże hura! —
Nasz kochany Maciek Bzdura,
Już dwa dni nic nie je,
Pojedzie na turnieje
Samochodem po przez pola
Zajedzie do Tarnopola,
Jako Noe w swojej arce
Ma też i arak w karawce,
Jeśli w drodze się upije
Grzbiet mu ktokolwiek wybije.
A w trójkącie sławny wszędzie
Kasprowicz poeta będzie.

Wincenty Cechowy.

2.

Wiwat, wiwat, hura, hura,
Wziąć nagrodę mam nadzieję:
Pierwszy to nasz Maciek Bzdura,
A drugie to są turnieje.
Automobil goni, dzwoni,
Wielkich panów to zabawka,
Czwarte to miasto Tarnopol,
A piąte zwykła karawka.
Kamień dźwiga bardzo często
Ludzi, chaty, lubi gąszcz leśny,
A poeta, to Kasprowicz,
Wielki piewca nasz współczesny.

W. Lewandowski.

Oprócz tego w oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali PP.:
S. Cholewa z B., Franc. Teper z M. K., J. Hirszberg z K., A. Żebrok z B., W. Cechowy z P., T. Buryan z Ł., F. Kłodka z O., J. Moś z Cz., W. Rojek z P., J. Kassolik z P., Z. Bogdański z L., J. Kaizer z J., J. Płatkowski z M., J. Brzeziański z K., W. Trębacz z K., W. Razmus z S., F. Orzechowski z U., J. Bożek z J., J. Gąsior z S., Józef Krukurka z K., Stefan Raś z M., A. Czochor z C., J. Leja »Lejowski« z Cz. D., Jan Dzik z Z., St. Misiewicz z Cz.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Zamek krakowski*** wylosował **p. Franc. Orzechowski** z U., zaś drugą p. t. ***Stare baśnie*** **p. Jan Dzik** z Z.

Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara**
Drukarnia „Czasu" w Krakowie pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego